Stanisław Cywiński.

Gwałt Ortograficzny

WILNO
1937

Stanisław Cywiński.

Gwałt Ortograficzny

WILNO
1937

Druk. A. Zwierzyńskiego Mostowa 1

(odbitka z „Dziennika Wileńskiego")

GWAŁT ORTOGRAFICZNY

Artykuł niniejszy był przeznaczony do tygodnika **Prosto z Mostu** i narazie przez redaktora przyjęty. Ponieważ jednak nie chciano tam się zgodzić na moje kategoryczne żądanie zachowania mi mojej pisowni, zmuszony byłem uciec się do gościnnych łamów **Dziennika Wileńskiego**, który się lojalnie stosuje do moich warunków. S. C

Wyrazu: gwałt — używam w tytule w podwójnem znaczeniu. Chcę bowiem mówić tak o gwałcie, którego użyto przez narzucenie mowie polskiej nowej pisowni, przed czem ona się broni i bronić nigdy nie przestanie, aż ją wreszcie zrzuci; oraz o drugim rodzaju gwałtu, o hałasie i gwarze polemiki, które spowodowała tamta decyzja, o hałasie, polemice i oburzeniach, które wciąż rosną i potężnieją.

Oto garść przykładów.

SEJMIK ORTOGRAFICZNY.

Nie tak dawno Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych w Warszawie zwołało specjalny Sejmik Ortograficzny, na którym p.p. Szober i Irzykowski beznadziejnie przez kilka godzin bronili tej nowej pisowni przeciwko zwartej falandze kontrmówców, którzy wszyscy bez wyjątku atakowali „te w najwyższym stopniu nieudolne i nieprzemyślane pomysły" (słowa prof. Drogoszewskiego). A prócz tego uczonego przemawiali jeszcze prof. prof. Płoszewski, Chełmiński, Włodarski, Bzowski i in., wszyscy przeciw, nikt w obronie tej reformy.

Ale jeszcze więcej, niż ci przeciwnicy nowej pisowni, podkopywał jej powagę główny niefortunny jej obrońca, prof. Szober, który się lojalnie przyznawał, że stale od pewnego czasu nosi w kieszeni nowy słownik ortograficzny, do którego wciąż zagląda, bo... nie umie pisać wedle wymagań nowej pisowni.

— Boć to przecie — tłumaczył biedny „heautontimoruménos" (to tytuł komedyj Menandra i Terencjusza i oznacza człowieka, co jest dobrowolnie katem samego siebie!) —

w zdaniu „chłopak biega wkoło kląbu", wyraz wkoło — napiszemy razem, gdy w zdaniu: „chłopak biega w koło", ten sam wyraz mamy pisać osobno. I takich osobliwości jest kilkaset. (Wszak czerwono-biały piszemy przez łącznik, ale czerwonozłoty razem, bo w pierwszym wypadku kolory się nie zlewają, tak jak w drugim. — Pisownia Nitscha, str. 28). Kto to wszystko spamięta? Noszę tedy słownik. Oto on, panowie! Nie taki znów ciężki. Tylko 320 gramów. Więc polecam go wszystkim, kosztuje niedrogo, bo biedacy lingwiści z głodu umrzeć mogą.

Tenże Szober oświadczył na owym Sejmiku, że z uchwałami owego Komitetu Ortograficznego trzeba się było śpieszyć, (ilustracja powyższych słów prof. Drogoszewskiego!), bo Związek Wydawców tego wymagał. (Poco to, u licha, było im potrzebne?) Natomiast z autorami nie było potrzeby się liczyć, bo już wydawcy dadzą sobie sami radę z temi głodomorami!

ANKIETA „TĘCZY".

A oto inny przykład, wykazujący całą bezmyślność tej ortograficznej „reformy".

Powstała ona, jak wiadomo, pod znakiem „uproszczenia", „ułatwienia" pisowni, „aby ją uczynić przydatną dla mas", jak mówił prof. Otrębskiemu zmarły przed 2 laty prof. Rozwadowski. Tymczasem cóż wykazuje skrzętna analiza?

Oto **Tęcza**, miesięcznik poznański, ogłasza ankietę w sprawie tej nowej pisowni. Odpowiedzi były bezwzględnie potępiające tę próbę zamieszania, którą wprowadził ów smutnej pamięci Komitet Ortograficzny. Dr. J. Grabowiecki, opracowujący wyniki tej ankiety, ogłosił rewelacyjny wprost artykuł, wykazujący, iż różnice pomiędzy nową a starą pisownią przemawiają wyraźnie na korzyść starej. Oto uwzględnił on w każdej z nich: a) prawidła ogólne; b) prawidła szczegółowe; c) prawidła, wymagające zapamiętania pewnej liczby słów; d) wyjątki, ujęte w regułę ogólną i e) wyjątki szczególne. Z dokładnej analizy wynikło, że przeszło dwa razy tyle prawideł do zapamiętania i

do wykucia jest w pisowni nowej (I), niż starej (II). Oto dokładna tabela:

	a	b	c	d	e
I	357	52	294	67	319
II	174	38	219	10	64

To znaczy, że jeśli dawniej trzeba było mieć w głowie naogół 505 prawideł, by pisać poprawnie, to obecnie ten, kto chce konsekwentnie trzymać się nowej pisowni, winien wykuć aż 1089 reguł! I to ma być „uproszczenie", „ułatwienie" pisowni, jej „przydatność dla szerokich mas?" Miast 505 reguł, już przyswojonych, zgadzających się przeważnie z żywą mową, aż 1089 prawideł nowych, których wszyscy musimy się nanowo uczyć, acz w bardzo wysokim stopniu gwałcą one polską mowę. (Cóż mamy temu się dziwić, gdy „sam" Nitsch lojalnie przyznał, że nie ma językowego polskiego poczucia, że np. dźwięk Tintoretto nie przedstawia dlań żadnej językowej trudności).

Toteż, jak już pisałem kiedyś na tem miejscu, nikt właściwie konsekwentnie tej pisowni nie przestrzega. Jest ona przecież jednym jeszcze przykładem tego mechanistycznego formalizmu we współczesnej polskiej

kulturze, który tak bezwzględnie atakuje Kołaczkowski w ostatnim zeszycie **Marchołta.**

NIESFORNI AUTORZY.

A oto przykłady.

Prof. Brückner w ostatnim zeszycie **Ruchu Literackiego,** który wyszedł z druku w połowie marca i jest cały drukowany (przez jakąś dziwną, niezrozumiałą suggestję) niestety, nową pisownią, pisze: liturgja, bizantologja (przez — j —), o bojowem przeznaczeniu, o dosłownem tłumaczeniu, o czem, o niczem, w pierwotnem brzmieniu. I to wszystko w artykuliku o półtorej stronicy!

Iłłakowiczówna drukuje w Nr. 12 Prosto z mostu, (które też nie wiedzieć poco przeszło na nową wiarę, i gwałcąc wyraźną wolę autorów, drukuje ich artykuły potworną nową pisownią)), Iłłakowiczówna tedy pomimo wszystko drukuje tam poemacik o 39 wierszach, gdzie czytamy: w Norwegji, Norwegją, fjord, fjordem, o niczem, białemi zębami, zmyślonemi kolorami. Jak na 39 wierszy to dość

I inny przykład. W Nr. 10 **Myśli Narodowej** w artykule W. Jabło-

nowskiego czytamy: banalnem uczuciem, o czem, na swojem miejscu, tem arcydziełem, na tem snuciu, przedewszystkiem, z tem, niema (razem, gdy nowa pisownia każe zawsze pisać osobno), legjonista, parodja, acz: geniusz (2 razy!), wreszcie zgodnie z nową pisownią: szlachetnymi ideami, odwiecznymi zagadnieniami.

Trudno o większy chaos!

W tymże n-rze **Myśli Narodowej** Z. Wasilewski pisze niezgodnie z nową pisownią: zagranicą, miljony (aż 3 razy!), wydarzeniem politycznem, pewnem zdziwieniem, zosobna, coprawda, tem zjednoczeniem, tem mniej, wszystkiemi drogami, różnemi czasy, poczuciem nacjonalnem, zagadnieniem centralnem, dla tego, dla czego (osobno, gdy i nowa i dawna pisownia każe ten przysłówek pisać razem!), odrazu, jednem słowem, niczem innem, wielkiem nieszczęściem, z całem poczuciem humanistycznem, zpod (przez—z—!), a nawet: pretensionalny (przez—i!!).

Alle obok tego w tymże artykule spotykamy już w zgodzie z nową pisownią: kategorii, akcesoriów, masonerii, ideologii, Kurier (dwa razy!).

Podobnie wygląda w tejże **Myśli Narodowej** dłuższy artykuł Pigonia (nr. 6, 7 i 8). I ten pisarz nie trzyma się konsekwentnie ani jednej ani drugiej pisowni. Więc stale pisze: ironia, legion, ideologia, lecz również stale: tem samem, niczem innem, o swem zajściu, czemś; stale postronnymi podmuchami, sztucznymi, tamtymi wypadkami; lecz jednocześnie, wogóle, niema, pozatem (nowa pisownia każe te wyrazy dzielić). Ogółem naliczyłem w trzech artykułach 58 zastosowań nowej pisowni i 52 — dawnej.

Widzimy więc, że jak Jabłonowski, tak Wasilewski, tak i Pigoń dowolnie powybierali niektóre prawidła stąd, inne zowąd. I snać dobrze im z tem. Tak to dzięki sławetnemu Komitetowi Ortograficznemu, ortografia — to dziś w Polsce **res nullius**. Każdy sobie rzepkę skrobie, na swój sposób pisze sobie!

Inny przykład. Wacław Berent wydaje oto u Gebethnera nową książkę, i żąda specjalnie, by mu ją drukowano dawną pisownią. Firma wydawnicza, acz już kilkakrotnie zastosowała mord rytualny do mowy kilku pisarzy (czytaj o tem w

mej książeczce **Na warsztacie literatury)** — tu ustąpiła. Ba, Berent — gruba ryba; wystarczy pastwienia się nad płotkami!

CHAOS.

Czyż wobec tego nie trzeba przyznać słuszności Piotrowi Grzegorczykowi, który w ostatnim zeszycie **Ruchu Literackiego** ubolewa, iż „państwo, kładąc z b y t p o ś p i e s z n i e placet ministerjalne na projekcie Komitetu Ortograficznego", wywołało niebywały chaos w dziedzinie pisowni. Boć to co krok, to inny widok: tu pisownia dawna, tam nowa, tam zaś — to bywa najczęściej! — jakaś osobliwa miszkulancja. Nie wiem, czy mi się zdarzyło znaleźć choćby 5 procent książek i pism, wydrukowanych konsekwentnie według nowej pisowni. N. p. we wczoraj dopiero przeczytanem **Maleńkiem karo** Magd. Samozwaniec, przecież w zasadzie przestrzegającem reguł nowej pisowni, na 204 zadrukowanych stron znalazłem aż 142 sprzeniewierzenia względem niej, i to wszelkiego możliwego typu, i na rzecz pisowni dawnej i zgoła kapryśne. Toteż cóż za kłopot ma

czytelnik z tą pisownią! Tak się zdarzyło, że takie książki, które są drukowane po nowemu, ostatnio przeczytane przeze mnie, były wyłącznie moją własnością. I otóż, aby je rzetelnie przeczytać, musiałem wpierw poprawić błędy, jak o tem piszę w powyższej mej książce, str. 55—57. I niech nikt nie sądzi, że to jakieś dziwactwo, tak jak nie jest dziwactwem, gdy ktoś nim zacznie grać na fortepjanie, musi poprawić rozklekotane struny; nim zacznie jeździć autem, wpierw pozalewa kocie łby asfaltem. Wszak każde: czym, czymś, po czym, przedewszystkim i inne tego rodzaju kwiatuszki, aż podrywają człowieka, jakby go sadzono na fotelu elektrycznym. Jużci lepiej użyć godzinę lub dwie na mechaniczną pracę poprawienia kilkuset błędów, niż w ciągu 10 czy 15 godzin doznawać nieustannych wstrząsów.

GŁOS PROF. OTRĘBSKIEGO.

Ale oto jeszcze jeden epizod walki o zgodność pisowni z żywą mową. Najpoważniejszy bodaj z członków owego Komitetu Ortograficznego, prof. Jan Otrębski, człowiek o wy-

jątkowej łagodności, który zaiste trzciny nadłamanej nie złamie i lnu kurzącego się nie zagasi, występuje oto przeciw nowej pisowni z dużą broszurą. Reforma ta bowiem, jak pisze, stała się „czynnikiem dezorganizacji życia kulturalnego w Polsce".

Geneza tych pomysłów, wedle Otrębskiego, była tego rodzaju.

INICJATYWA PROF. ROZWADOWSKIEGO.

Jak było do przewidzenia zainicjował całą imprezę człowiek pod wielu względami godny szacunku, ale, jak już o tem pisałem parokrotnie, nie wolny od sympatyj bolszewickich (w metafizycznem i psychologicznem tego słowa znaczeniu). Jan Rozwadowski, który, głosząc przewrotną zasadę, iż „wszelka automatyzacja — to śmierć, wszelka zaś dysautomatyzacja — to życie, rozkwit", usankcjonował swym autorytetem (wszakże był prezesem Akademji Umiejętności) wszelkie przewroty, rewolucje, rokosze i t. p., które tembardziej upajają ludzi, im są gwałtowniejsze, bezcelowe i bezmyślne.

On to, Rozwadowski, stawiał kwestję radykalnie: „Trzeba zmienić naszą pisownię tak, aby ją uczynić przydatną dla mas, gdyż dotychczasowa pisownia to przeszkoda na drodze ku lepszej przyszłości Polski" (broszura Otrębskiego — **O nowej zmianie pisowni polskiej**, str. 2). Gdyby to rozumowanie miało choć 1 procent słuszności, to iście trzebaby podziwiać głupotę takich Anglików czy Francuzów, którzy przez swą trudną pisownię trzymają swe „masy" w analfabetyzmie. Równocześnie należałoby paść czołem przed Białorusinami, którzy, jakby antecypując pomysły Rozwadowskiego, ułatwili do maximum swą pisownię (np. wyraz: kooperatywa pisze się po białorusku: kaapieratyu, na końcu —u— krótkie, jak angielskie —w—) i właśnie dzięki temu osiągnęli taki poziom kultury, że dziś każdego Białorusina odrazu można wprowadzić do Akademji Umiejętności w Krakowie czy w Smorgoniach.

Otóż niezawodnie w tem kompletnie mylnem rozumowaniu Rozwadowskiego tkwi miazm rozstroju. Gdyby nie było tego ro-

dzaju tendencyj, nie byłoby wogóle żadnej reformy pisowni. Tymczasem ludzie niespokojni, pałający żądzą jakichś zmian radykalnych, zjechali się do tego gniazda rewolucji, jakiem jest dzisiejszy Kraków (bez ironji to piszę!) i zaczęli przemyśliwać.

PRZEBIEG NARAD.

Najpierw chciano rzeczywiście wszystko obalić i odrazu upodobnić się do tych aktualnych Pra-Słowian, jak był nazwał Mickiewicz właśnie Białorusinów. Coby to za obszerne było pole do tworzenia! Każdy się już pysznił, że niczem Ungler, Wietor czy Haller (zawsze w Polsce Niemcy rej wodzą!) zasłynie.

Alić, chwalić Boga, polski zdrowy rozsądek wziął górę i radykalne pomysły (skasowanie—h— dźwięcznego, ó, rz, i t. p.) upadły, acz członkowie Związku Nauczycieli Ludowych (jakżeby się bez nich obeszło!) gorąco się domagali reformy radykalnej. Wobec tego ktoś rzucił jedyną słuszną propozycję: więc rozjedźmy się do domów! Niestety, większości ta mądra propozycja nie przypadła do smaku. Akademja Umie-

jętności zapragnęła, wbrew istotnemu swojemu charakterowi, roli aktywnej. Niedość jej było gaff już popełnionych (np. z nagrodą literacką w czerwcu 1935), zachciało się nowych.

Taką nieprzebaczalną gaffą, która znów obniża powagę Akademji, były uchwały Komitetu Ortograficznego.

Prof. Otrębski bardzo słusznie pisze, że „podstawowym warunkiem powodzenia jakiejkolwiek reformy jest, aby jej pragnęło samo społeczeństwo". Tymczasem się okazało, że „społeczeństwo było właśnie zaskoczone zmianą pisowni". I tu argumentując bardzo delikatnie, przesadnie ostrożnie, Otrębski tłumaczy, że w naszej ortografji „punkty sporne nie są to naogół sprawy czysto ortograficzne, lecz także jednocześnie językowe". Szczególnie przy końcówkach: tem dobrem dzieckiem, tymi ludźmi, temi końmi czy krowami — jest dużo wątpliwości. „Polacy niejednakowo te końcówki wymawiają, a gramatycy nie wiedzą dobrze, które z brzmień ze stanowiska języka literackiego uznać za prawidłowe". Powyżej widzieliśmy,

jak dalece od norm, proponowanych przez Komitet Ortograficzny odbiega wymowa i pisownia Jabłonowskiego, Brücknera, Iłłakowiczówny, Berenta, Wasilewskiego, Pigonia. Zdawałoby się tedy, że dwa są tylko wyjścia słuszne: albo zachować **status quo ante**, do którego już się przywykło, albo też zastosować tu wolną rękę w pisaniu: dobrem dzieckiem, czy dobrym dzieckiem, zgodnie z indywidualną wymową. Wstrętną natomiast bezceremonjalnością i ohydną przemocą jest żądanie pisania: dobrym dzieckiem, tymi siostrami, od kogoś kto mówi pełną gębą: dobrem, dobremi, e — wyraźne! (Zresztą nigdy, od czasu jak istnieje mowa polska, nie mówiono inaczej jak: temi dobremi dziećmi! I tylko tak pisano!)

Na tem tle roztacza prof. Otrębski ogólne rozważania:

„Trzeba sobie uprzytomnić, że każda zmiana pisowni jest ciężkiem przejściem dla ogółu piszącego. Kiedy wdrożymy się do pewnej pisowni, staje się ona niejako drugą naturą naszą, tak silnem przyzwyczajeniem, że zastąpić ją innem, to wysiłek nielada, wysiłek, wymagający całych

lat pracy nad sobą, zwłaszcza, gdy w nowych przepisach aż się roi od wyjątków; w tym wypadku starania nad opanowaniem nowej pisowni mogą być daremne już do końca życia. Tedy od pokolenia, wdrożonego do pewnej pisowni, inicjatorzy zmian żądają wielkiej ofiary: oto ni mniej ni więcej, tylko aby przestali być ludźmi piśmiennymi w pełnem znaczeniu tego słowa".

Ale Otrębski pomija tu sprawę najważniejszą: poco to wszystko się robi? komu i naco potrzebne są te ofiary? komu co z tego przyjdzie? Wszakże dla kogoś, kto już umiał do czasu tej reformy pisać po polsku, zastosowanie jej jest oczywistą trudnością. Tego dowodzić chyba nie trzeba. Ale przecież nie mniej jest oczywiste, jak tego dowodzi choćby wspomniana powyżej ankieta **Tęczy**, że również dla każdego, co dotąd nie pisał po polsku, czyli np. dla dziecka lub cudzoziemca, trudniej jest nauczyć się pisać (i czytać) według nowej pisowni, niż wedle dawnej.

CZY PRAWDOPODOBNE?

Niech się nie dziwi wobec tego Nitsch, że ludzie, szukający przej-

rzystych motywów każdego ludzkiego kroku, skłonni są poprostu przypuszczać, że to względy materjalne rządziły przynajmniej tymi członkami osławionego Komitetu, którzy z zawstydzającym brakiem taktu sami natychmiast powydawali nowe słowniki ortograficzne i to w tak szybkiem tempie, że „zaledwie nowa pisownia uzyskała w dniu 24 czerwca 1936 zatwierdzenie Ministerjum, a już w cztery dni później, bo dn. 28 t. m. książka Jodłowskiego i Taszyckiego nadeszła do Wilna" (broszura Otrębskiego, str. 14). Prócz tych dwu członków Komitetu wydali słowniki i przepisy Nitsch, Szober, Lehr, Wieczorkiewicz, Majewiczówna, wszystko członkowie K. O. Poza nimi zaś Fiszerówna, Fiutowski, Patejdl, Podolski, Śliwiński, a także wyszedł jeszcze Słownik Trzaski, Słowniczek Arcta. Nawet nasz wileński uczony wydał tu w Wilnie jakieś tablice ortograficzne, gdzie np. objaśnia: „nie z rzeczownikami pisze się razem, np. niedola, nieszczęście". (Dodaćby jeszcze można: niewino, lecz lura; niemądrość, lecz bzdura). Jeśli jednak nie było tego względu na zysk osobisty, niechże teraz po-

zrzekają się uroczyście wszelkich dochodów z tego tytułu, ot, choćby na koszt leczenia tych wszystkich, co stargali swe nerwy w walce ze zmorą, przez nich nawianą. Zapewne to nie zmieni zasadniczo sytuacji, ale przynajmniej wykaże ich bezinteresowność, która — niech mi to będzie wybaczona — dziś jest w oczach niektórych osób pod znakiem zapytania. Toć albo są to ludzie kompetentni, więc w takim razie musieli przewidzieć niebywałe zamieszanie, które nastąpi (i rzeczywiście nastąpiło) oraz znaczne utrudnienie w pisowni; albo też, jeśli tego nie przewidzieli — to nie są to i nie byli ludzie kompetentni.

INDETERMINIZM ABSOLUTNY.

Dalej prof. Otrębski szuka źródeł tej psychozy, która ogarnęła większość członków tego Komitetu i bodaj trafia w sedno, gdy przypuszcza, że obecna reforma pisowni „jest dalszym ciągiem tych zmian, które na wielką skalę przeprowadzono w ustroju szkolnictwa". (Takie ogólne wytłumaczenie wydaje się autorowi tem prawdopodobniejsze, że w „Komitecie nie było ani jednej osoby, o którejby on (Otręb-

ski) wiedział, że zgłębiała zasady pisowni ze strony teoretycznej").

Sądzę, że dopatrując się owego związku pomiędzy reformą pisowni a reformą szkolnictwa, autor jest rzeczywiście bliski prawdy. Toć jedna i druga reforma poczęła się z owego barbarzyńskiego przekonania, że kulturą można tak kierować jak kompanją żołnierzy. Już powyżej starałem się wykazać ogólną psychiczną atmosferę, w której się poczęła reforma pisowni: jest to tak nazwana przeze mnie dawniej teorja **indeterminizmu absolutnego** (patrz w **Myśli Narodowej** 1933 artykuł mój p. t. **Dwa bieguny współczesności**), ta sama teorja, co wyhodowała Lenina, Mussoliniego, Hitlera, zresztą i wiele spraw choćby polskiego powojennego bytu. Ale

Tetlathi de kradie, kai kynteron
allo pot' etles...
(Odysseja XX, 18).

ZAGROŻENIE MOWY.

Otrębski dalej rozpatruje punkt po punkcie całą zreformowaną pisownię, podkreślając, że na Komitecie poszczególne kwestje „traktowano tak, jakgdyby to był tylko język papierowy i istniał tylko na piśmie:

żywa mowa, rzeczywista rzeczywistość—to tylko dialekty". (Jak wiadomo, prof. Nitsch jest znawcą niektórych polskich dialektów, na mowie zaś literackiej, jak to zaraz zobaczymy, zna się słabo).

„Otóż (pisze dalej Otrębski), czy dobra jest zmiana, której następstwem może być psucie języka, rzeczy ważniejszej niż pisownia? Czyż można nazwać społecznie pożądaną taką zmianę, która utrudnia poznanie właściwego brzmienia wyrazów, będących w użyciu w mowie ojczystej? O ileż lepsza była dotychczasowa pisownia, opierająca się na brzmieniu wyrazów w języku literackim?" Tymczasem „Komitet Ortograficzny wkroczył do gmachu samego języka, aby robić w nim porządek, wbrew elementarnym postulatom nauki, które głoszą, że gramatycy są tylko obserwatorami dziejów języka", nie zaś jego twórcami ani mentorami.

Toteż „przyszły historyk języka polskiego wyrazi żal do tych polonistów w Komitecie Ortograficznym, którzy miast bronić stanu swego języka przed niepowołanymi, sami przyczynili się do jego zubożenia,

którzy miast czerpać wzory w dziełach najlepszych mistrzów języka polskiego, opierają się w swych decyzjach na zeszytach początkujących uczniów".

Następnie, omówiwszy sprawę pisania przysłówków, prof. Otrębski stwierdza kategorycznie, iż „sposób, w jaki Komitet Ortograficzny rozwiązał sprawę pisania wyrażeń przysłówkowych, jest sprzeczny z całem nastawieniem naszej nauki wobec faktów językowych".

Nieco dalej prof. Otrębski wykazuje jak na dłoni nieorjentowanie się prof. Nitscha tak w zasadach wersyfikacji (o której jednak mówi), jako też o jawnem lekceważeniu przezeń polskiego języka literackiego. Mianowicie na str. 21 swej **Pisowni Polskiej** pisze Nitsch tak:

„Jeżeli kto chce pisać:

Do tych pól, malowanych zbożem
r o z m a i t e m,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych ż y t e m,

— to mu wolno; tylko że w takim razie powinien też pisać:

Wicher kędyś nad sklepem szalał
n i e r u c h o m e m
Jękiem, szumami, wyciem, łosko-

tami, g r o m e m,
i . . . . . klnę się s c y z o r y k i e m
Że Płut nie wyda, gadać już nie
będzie z n i k i e m.

Tak te przykłady, jak i dalsze twierdzenie, że rzekomo „Mickiewicz nie rozróżniał tych końcówek", są więcej niż mylne, są wprost śmieszne. Prof. Nitsch snadź nie wie że są t. zw. rymy niezupełne, od których aż się roi w poezji. Dużo o tem pisze np. w swych **Wierszach polskich** Jan Łoś, odróżniając je wyraźnie od asonansów (patrz zwłaszcza str. 136, 161, 183, 252 i in.). Toteż i Mickiewiczowi nikt nie zabraniał rymować niedokładnie: nieruchomym — gromem, scyzorykiem — nikim, wzdycha — uśmiecha, łajdackim — plackiem; podobnie jak np. Miaskowski mógł rymować: zbożu— wozu, proroki — głębokiej; a Zimorowicz: wzajemnej — przyjemny; pachniące — pącze; drogi—ubogiej; brzegi — komięgi; podobnież rymuje Krasicki: dola — króla; godzi — dobrodziej; podróże — najdłużej; rozpaczy — inaczej; feniksy — dixi; item Słowacki: biedę — przyjdę; dalej — umierali; książę — węże; słońce—palące; i Norwid: boleści—

szlachetności; trumny — rozumnej; małej — grały; i Kasprowicz: radością — kością; twarzy — skarży; bożej — rogoży; matki — rzadkiej i t. d.

Chyba poza prof. Nitschem nikt się nie znajdzie taki, coby przypuścił, że poeci rzeczywiście wymawiali: słońce — gorońce, lub też: słące — gorące; radością — kością, czy też radościom — kościom; książe — waże, lub: księże — węże. A już przypuszczenie konkretne Nitscha, że „Mickiewicz wymawiał: uśmicha", dla mnie, znającego dobrze wymowę kresową, jest tak beznadziejnie naiwne, że stawię konia z rzędem i opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem, jeśli ktoś mi pokaże autentycznego krajana mickiewiczowskiego tak mówiącego. Mamy tu zaiste konkretny przykład „szczególnej nonszalancji lingwistów w stosunku do języka literackiego", o czem tak przekonywująco pisze Otrębski.

WNIOSKI PROF. OTRĘBSKIEGO.

Wnioski ostateczne omawianej broszury brzmią tak:

„Twierdzę, że tej pisowni w całej

jej rozciągłości nie posiędzie już do końca życia nikt z tych, którzy stosowali pisownię dotychczasową, nawet członkowie Komitetu Ortograficznego; czyli że mimo wykształcenia, mimo różnorakich uzdolnień i umiejętności, akurat tej, która powinna być umiejętnością elementarną, umiejętności ortograficznego pisania, powinniśmy się nazawsze wyrzec. Co zaś do podręczników i słowników ortograficznych, to sama ich obecność na biurku (czy też w kieszeni, jak u prof. Szobera, przyp. S. C.) czyni ojczysty język bardziej dalekim, aniżeli jakikolwiek język obcy, francuski, niemiecki, czy inny, czyni z niego jakąś chińszczyznę... Cóż tedy mam uczynić ja, który, jako badacz, istotę rzeczy uświadamiam lepiej, niż inni moi współbracia, i który wiem, że nauka stoi tutaj po stronie pokrzywdzonego ogółu, a nie po stronie zapamiętałej w swej bezwzględności grupy członków Komitetu Ortograficznego?"

Temi słowy kończy Otrębski swą broszurę, której można tylko tyle zarzucić, że jest zbyt łagodnie napisana i że nie konkretyzuje postulatu obalenia ostatniej ortograficznej re-

formy, postulatu, co leży jednak u jej podstawy.

ODPOWIEDŹ PROF. NITSCHA.

Prof. Nitsch lekceważy zwykle artykuły, które atakują nową ortografię. Tak zlekceważył doskonały feljeton świetnego pisarza, Zygmunta Nowakowskiego (patrz **Sztorm Ortograficzny, I. K. C.** 1936, nr. 284), oraz moje artykuły: **Orto — czy też kakografja? (Dzien. Wil.** 1936, nr. 251—2, oraz **Słowo,** 1936, nr. 254), a także **O wyjściu z ortograficznego impasu (Dzien. Wil.** 1936, nr. 274, oraz **Słowo,** 1936, nr. 276).

Ale teraz... Teraz niepodobna było przemilczeć głosu prof. Otrębskiego, uczonego lingwisty conajmniej tej miary, co sam prof. Nitsch, w dodatku również członka owego Komitetu Ortograficznego. Więc na ów protest wileńskiego profesora krakowski augur nareszcie odpowiedział, ale, rzecz jasna, nie bez właściwego swemu charakterowi augura uśmiechu politowania.

Już sam pogardliwy tytuł odpowiedzi (**Chore protesty** w nr. 13 **Prosto z Mostu)** ma w intencji autora pokazać ogromny dystans, który

w mniemaniu prof. N. oddziela jego osobę i sprawę, przezeń bronioną, od osoby i sprawy prof. O. Powtóre, powiązanie protestu tego uczonego z publicystycznemi wystąpieniami d-ra Charkiewicza, wystąpieniami, nie stojącemi naogół wyżej, niżeli wspomniane repliki Nowakowskiego i moje, ujawnia bardzo przejrzyście intencje prof. N.: „Patrzcie, co oto wypisują jakieś tam wileńczuki! A wiadomo, nie przychodzi prorok z Galilei!"

Ale w tym tonie przybranego lekceważenia nie udało się autorowi długo utrzymać. Raz po raz przemawia, owszem, między wierszami, ostre podrażnienie, a nawet tu i ówdzie wyraźny gniew, tak właściwy uczonym (**vatum irritabile genus**), gniew, który go zaślepia do tego stopnia, że jest nietylko niesprawiedliwy i niekonsekwentny, ale nawet parę razy mija się wręcz z prawdą.

„WARCHOLSTWO"

Twierdzi więc prof. Nitsch, że „społeczeństwo już się naogół przystosowało do nowych zasad... Było, prawda, trochę występów zupełnie niepoważnych, mogących służyć tyl-

ko, jako objaw antyspołecznego warcholstwa, lub mimowolnej humorystyki".

Och, ten termin: warcholstwo! Czyż dawne są te czasy, kiedy tem mianem piętnowano w Polsce z urzędu niemal wszystkie te zasady, które dziś podaje do wierzenia narodowi orędzie pułk. Koca! Gdyby prof. N. był nietylko lingwistą, ale też psychologiem, toby wiedział, że przedmioty, wyrazy i pojęcia zmieniają swe znaczenie, gdy się je nadużywa. Tak nietylko krzyż znaczy dziś zgoła co innego, niż przed Chrystusem, ale i szubienica po zgonie Traugutta i Sierakowskiego straciła (na czas pewien) swe hańbiące znaczenie. Także Cytadela i Sybir — to nie hańba, lecz honorowa odznaka. Dziś tak samo uhonorowany jest narodowiec, co był w Berezie. Podobnież od 11 lat wyraz „warchoł" odwrócił w Polsce swe dawne znaczenie: to dziś człowiek, mający własną opinję o rzeczy, wrażliwe sumienie i oczy otwarte. Toteż i niżej podpisany chętnie podzieli dziś ten epitet z Otrębskim, Berentem, Drogoszewskim, Pigoniem (którego zbyt pochopnie zaanektował już prof. N.)

i in., bo kiedy lingwści idą na kultury zgubę, ostrzegać, choć jak „warchoł", mam sobie za chlubę. A jestem pewien, że jak ongiś Zabłockiemu, tak i mnie potomność przyzna słuszność...

Ale ciekawa rzecz, do której to grupy: warchołów czy humorystów, zalicza sam prof. N. owych pisarzy z Brücknerem i Iłłakowiczówną na czele (patrz wyżej), którzy się jednak nie poddali terrorowi nowej pisowni.

CZY WYMOWA ZAGROŻONA?

Lecz to dopiero kwiatuszki. Główny atak przypuszcza prof. Nitsch na twierdzenie prof. Otrębskiego, zdawałoby się tak oczywiste, że aż bijące w oczy. Któż wątpi, że pisownia wogóle, nowa zaś w szczególności, wpływa na wymowę i ją urabia? A jednak prof. N. temu przeczy i to w ten sposób, iż czytelnik wyczuwa odrazu, że mówi to wbrew własnemu przeświadczeniu:

„Trudno się rozwodzić nad godnem analfabety, choć pochodzącem od prof. Otrębskiego, powiedzeniem, że pisownia wykrzywi wymowę". To chyba wyraźnie.

Ale weźmy teraz **Pisownię Pol-**

ską tegoż uczonego i rozejrzyjmy się w niej. Oto wyraz cudacki: **pojedynczy** (przez twarde n). W wielkim **Słowniku Polskim** (t. zn. warszawskim) niema wogóle tego wyrazu, jest tylko: **pojedyńczy**; Brückner w swym **Słowniku Etymologicznym** oba te wyrazy pomija, bo oczywiście uznaje tylko brzmienie: **pojedyńczy** (rzucam okiem na pierwszą stronicę, która mi się otworzyła w jego **Kulturze**, III, 300, już w piątym wierszu znajduję ten wyraz!). Pocóż tedy prof. N. wprowadza ten twardy dziwoląg? Czyż nie poto właśnie, by go twardo, wbrew powszechnym normom wypowiadać? Przecież przy wyrazie: śpieszyć, dopuszcza autor i tę i drugą możliwość (spieszyć s twarde). Czyż znowu tu nie sankcjonuje wymowy właśnie? Inny wyraz: puhacz. Istnieją przecież dwa zupełnie różne wyrazy: puhać (puhają puhacze!) i puchać — wąchać (stąd mój herb Puchała). Jeśli prof. N. zlewa je w jedno, to chyba uważa, że je trzeba wymawiać! też jednakowo. To samo: puhar. Dlaczego tu się autor wyłamuje z zasady, przyjętej przecież ogólnie i zachowującej jednak —h— dźwięczne, przeciw któ-

remu była na Komitecie zajadła walka? Bo chce, nie wiedzieć czemu, by puhar wymawiano! jako: puchar. Cóżby inaczej szkodziło owo —h—, sankcjonowane dotąd powszechnie (patrz Łoś, Brückner). A druchna? Tak pisaliśmy dotąd (Brückner i Łoś znają tylko tę formę). Nitsch tymczasem gwałtem wprowadza: druhnę. Ależ tego nikt nie wymówi, choć się będzie silił i zniekształcał język. Podobnież: charkot. Brückner zna tylko tę formę, ale Nitschowi nie wiedzieć poco zechciało się: harkotu. Sam Nitsch ponoć nie wymawia —h— dźwięcznego, więc nie zdaje sobie sprawy, że ludzie będą źle (bo dźwięcznie, tu niepotrzebnie) wymawiać, bo jakże to wytłumaczyć np. uczniowi, że pierwsze litery w wyrazach: hart i harkot wymawiają się inaczej?

Inny dobitny przykład, jak pisownia oddziaływa nietylko już na wymowę, ale na samo myślenie językowe, jeśli się tak można wyrazic, przytacza prof. Otrębski, tłumacząc metamorfozę, która się dokonywa z przysłówkiem: przedewszystkiem, gdy go kazano pisać: przede wszystkim. Z tą chwilą stał się on poprostu

połączeniem przyimkowem i zmienił swoje znaczenie. Podobna zmiana nastąpiłaby w wyrazie: naprzód, gdyby go pisać oddzielnie (na przód). To też w prasie zdarzyło mi się już kilkakrotnie czytać: przed wszystkim.

A oto dalsza trudność. Nitsch na str. 17 swej książki pisze: „Po głoskach c, s, z piszemy —j—, a to dla uniknięcia fałszywej wymowy". A więc sam pojmuje, że jednak pisownia może wpływać na wymowę! Ale dlaczego to tylko w tych wypadkach istnieje niebezpieczeństwo fałszywej wymowy? Wszakże już w r. 1897 Kryński, wprowadzając —j— w wyrazach: manja, chemja, Serbja, Anglja i t. p. motywował to właśnie akurat tak, jak dziś Nitsch tłumaczy potrzebę pisania: Francja, Rosja, Azja, nie zaś Francia, Rosia, Azia. A jeśli znów ten, który dotąd pisał: czem, czemś, tem dobrem dzieckiem, pocznie teraz czytać i pisać stale: czym, czymś, tym dobrym dzieckiem,—to czy po pewnym czasie nie zatrze się u niego owo —e— w wymowie na rzecz —y—? I niechże prof. Nitsch będzie choć raz szczery: o to przecież,

właśnie o to mu chodzi, aby ogół społeczeństwa zaczął wymawiać podobnie jak on sam, w szczególności aby zaginęło owo odróżnienie rodzaju nijakiego od męskiego w przymiotnikach w narzędniku i miejscowniku, bo to „wymysł Kopczyńskiego", bo Kochanowski pisał i mówił właśnie tak, jak Nitsch, a nie jak Berent np. Ale czemuż to, tak skwapliwie powołując się na Kochanowskiego w proweniencji: tym dobrym dzieckiem, zapomina się równocześnie, że przecież w liczbie mnogiej tenże Kochanowski doskonale odróżniał: tymi bohaterami walecznymi (**Pieśni** II, 13) od: temi kamieńmi, temi zioły i t. p.? (W samych tylko **Pieśniach** znajdujemy 4 razy rymy: temi — ziemi).

Tak więc tylko bardzo naiwnych czytelników przekona prof. Nitsch, że pisownia nie zmienia wymowy. I komuż tedy, niech czytelnik osądzi, bardziej przysługuje epitet analfabety: prof. Otrębskiemu czy też właśnie prof. Nitschowi? Tembardziej, że jest on wybitnie niekonsekwentny: każe Mickiewiczowi np. jakeśmy to widzieli, wymowę uzależniać od rymu (wzdycha — uśmicha),

a nie zdaje sobie sprawy, że tembardziej uzależniamy ją od pisowni, bo pewne osobliwości rymów spotykamy rzadko, a ekscentryzmy pisowni (np. pojedynczy, kwestia, czym) napastują nas stale, bez przerwy, w gazecie, w książce, na szyldzie, w tramwaju i t. p.

Przecież, wbrew Kochanowskiemu —e— w wyrazach jak: czem, potem i t. p. się już przyjęło w wymowie tak dalece, że sam Nitsch jest zmuszony tolerować je choćby w takich wyrazach, jak potem, (lecz: po czym), przedtem, wtem itp. A potem się mówi, że prof. Otrębski, który stwierdza fakt wyraźny, jak wół, jest analfabetą!! Jakże to nazwać?

Ale niema się czemu dziwić, że prof. Nitsch decyduje się w tym punkcie na metody walki najbardziej brutalne. Bo rzeczywiście: jeśli prof. Otrębski ma słuszność, jeśli pisownia nowa naprawdę wprowadza zmiany w wymowie, to oczywiście wszyscy lingwiści, biorący udział w owym Komitecie Ortograficznym są absolutnie zdyskredytowani i reformę tę trzeba zgruntu obalić, od nowych narad odsuwając nie tylko naj-

bardziej arbitralnego prof. Nitscha, ale i innych lingwistów, którzy w tym skandalu umaczali palce. Inaczej dzieło rozkładowe będzie się szerzyć.

JAK BYŁO W WILNIE?

Lekceważenie przez prof. Nitscha uchwały Wileńskiego T-wa Przyjaciół Nauk z dn. 16. IV. 1936, uchwały potępiającej jeszcze wówczas dopiero projektowaną reformę pisowni, jest conajmniej nietaktowne. Na owem zebraniu było około 100 osób, najświatlejszych w Wilnie, w tem około 20 profesorów U. S. B. na czele z prof. Marjanem Zdziechowskim; referaty wygłosiło pięciu z pośród nich, uchwały zostały przyjęte jednogłośnie, przy dwu tylko wstrzymujących się od głosu.

...I GDZIEINDZIEJ!

Ale że Wilno nie jest tylko „odosobnionem ogniskiem (protestu) znikomej wagi w obliczu całości", jak lekkomyślnie, świadomie mijając się z prawdą, twierdzi prof. Nitsch, o tem może go przekonają przykłady, cytowane przeze mnie powyżej, oraz chociażby redaktorzy tych pism, które, przystosowawszy się

już oficjalnie do nowej pisowni, jakże często otrzymują artykuły do druku z natarczywemi prośbami autorów, by jednak utrzymać w ich pracach pisownię dawną. (Prośby te wszakże spełniane są, niestety, tylko wtedy, gdy redaktorom które nazwisko imponuje. Tak n. p. red. Piasecki liczy się z Iłłakowiczówną, Grzegorczyk z Brücknerem).

Bywa zresztą i tak, że autor, nie chcąc wykoszlawiać swej pisowni i mowy, kompletnie unika w swym artykule wszystkich spornych punktów, zastępując je wyrazami zbliżonemi, n. p. miast: historją pisze: dzieje, miast: poczem pisze: następnie i t. p. Tak n. p. niżej podpisany napisał do **Prosto z Mostu** artykuł **O szkodliwości legend** (druk. w Dzień. Wil. 1936, nr. 275—6).

Tak, różne bywają straszaki, które działały i działają na rzecz nowej pisowni. Jednym z nich szermowano też i w łonie Komitetu Ortograficznego, gdy każdemu przed posiedzeniem powtarzano na ucho: „Tylko ostrożnie, bo on ma słabe serce. Może jeszcze nie wytrzyamć!" Nie sądzę, by to była godziwa metoda forsowania uchwał, by nie ubliżało

ciału zbiorowemu wprowadzenie do obrad tego rodzaju motywów osobistych.

SPRAWA OTWARTA!

Tak więc sprawa ortografji w Polsce jest wciąż otwarta. Nacisk oficjalny nic tu nie znaczy. Szkoły i urzędy są jeno na marginesie kultury. To tylko bolszewicy pragną kształtować właściwą kulturę środkami policyjnemi. Taka to też kultura! Gdyby prof. Nitschowi rzeczywiście kultura polska była droższa, niż miłość własna, samby winien prosić odpowiednich p. p. ministrów o cofnięcie jeszcze na jakie dwa lata udzielonego tak nieopatrznie placet, aby przez ten czas można było przedyskutować całą rzecz sine ira et studio, bez niepotrzebnych zaognień w tego rodzaju sprawie, która nie powinna budzić niezdrowych namiętności takich jak te, których wyrazem jest właśnie dopiero co omówiony artykuł prof. Nitscha.

Uczyniłby on to, sądzę, gdyby pozory nie przesłaniały mu rzeczywistości. Mianowicie twierdzi on, że obecna reforma pisowni przyjęła się szybciej, niż owa z r. 1918. Złu-

dzenie, beznadziejne złudzenie! Toć tam nie było nacisku oficjalnego, jak to było obecnie. Ze zmianą ministrów nacisk osłabnie i wreszcie zniknie zupełnie. Rzeczywistość duchowa, t. zn. żywa mowa polska odzyszcze swe prawa — a wtedy cóż się stanie z kaskadą tyraństwa prof. Nitscha?

NASI PÓŁ-CUDZOZIEMCY.

Ale cała ta heca z pisownią wywołała jeden skutek przez nikogo zdaje się nieprzewidziany. Nie sposób tego przemilczeć. Mówię o tem bardzo poważnie, będąc nader daleki od zamiaru kogokolwiek ukłuć lub skrzywdzić.

Jeszcze rok temu rasizm wydawał mi się pomysłem niemądrym i krzywdzącym. Oczywiście wyjątek robiłem tu dla Żydów, raz dlatego, że rasa ich, dzięki zgoła wyjątkowym warunkom ich historji, jest tak silna, że nawet po 4 czy 5 pokoleniach się odzywa; powtóre zaś z powodu ich równie wyjątkowej przewrotności i obłudy (przypomnijmy n. p. tylko dzieje hiszpańskich maranów, lub chociażby takiego Neumana, wyższego urzędnika ministerjalnego w Warszawie, zmarłego w

lecie r. 1936, który nie tylko że się ochrzcił, ale też gorliwie pełnił praktyki kościoła katolickiego, że tak powiem, nadliczbowe, np. należał do Bractwa Różańcowego, jednocześnie płacąc składki do gminy żydowskiej i obrzezując swego syna). Ale dla zwykłych cudzoziemców zasymilowanych: Niemców, Francuzów, Rosjan, Czechów i t. p. miałem stuprocentowy kredyt moralny, pomnąc zasłużone nazwiska Lelewelów, Lindów, Polów, Estreicherów, Baudouinów, Traugutłów, Birkenmajerów, Matejków, Szajnochów, Finklów i t. p.

Ale pod wpływem dziejów ostatniej reformy ortograficznej dokonała się we mnie radykalna zmiana. To nie przypadek, sądzę, że w tej reformie pierwsze skrzypce wzięli w swe ręce ludzie obcego pochodzenia. Zaczynam myśleć poważnie, że słusznie Mickiewicz doszukiwał się wpływów rasy nietylko w Klaczce, ale też w takim, powiedzmy, Goszczyńskim. Że Słowacki biadał: „Strach ilu śród nas jest ruskich". Że Wyspiański narzekał na nieopatrzną i powierzchowną asymilację, która sprawia, że „wytwarza się

tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa".

Boć to zważmy. Taki Nitsch neguje wpływ pisowni na wymowę; twierdzi, że dla jego ucha, rzekomo polskiego, nie brzmi obco, dajmy na to, imię Tintoretto. Taki Szober oświadcza mnie w żywe oczy, że ja, ja! też nie wymawiam dźwięcznego —h— w takim wyrazie, jak: hrabia. A gdym mu kilka razy powtórzył: hrabia, hrabia, lojalnie mi się przyznał, że p i e r w s z y r a z w ż y c i u u s ł y s z a ł t e n d ź w i ę k. (Dziś tenże Szober planuje wydać **Słownik ortoepiczny**, t. zn. słownik wymowy. Można sobie wyobrazić, jak tam mowa polska będzie wyglądać). Taki Lehr pogardliwie odzywa się o społeczeństwie polskiem, że ono da sobie wszystko narzucić. Nie zna go i lekceważy. Taki Kleiner używa niepomiernych wysiłków, by zdyskredytować religijność Słowackiego, której nie rozumie. (Porównaj np. nawskroś przewrotną interpretację wiersza „Wiesz Panie, iżem zbiegał świat szeroki..."').

Oto właśnie czterej najczynniejsi członkowie Komitetu Ortograficznego!

Wiem, że tego rodzaju pół-cudzoziemcy wnoszą do naszej polskiej kultury niektóre cechy, których nam brak: pracowitość, systematyczność. To też jeśli się ograniczają do roli nie twórczej, tylko przetwórczej i formalnej, jak to robili Linde, Estreicher, Finkel, Brückner — są nieocenieni. Wiem również, że posiadają nieraz bardzo cenne cnoty indywidualne, ale to wszystko nie zmienia tego faktu, że ludzie ci jakże często nie są zdolni zrozumieć i odczuć psyche narodowej polskiej i gdy się bezpośrednio do niej zabiorą, przy najlepszych zresztą chęciach, szkodę jej tylko przynoszą.

Powtarzam, nie chcę nikogo krzywdzić. Z osób powyżej wymienionych, znam bliżej i bardzo wysoko osobiście cenię profesora Szobera. Toteż gorąco Go przepraszam, jeśli mimowoli go dotknąłem. Sed amicus Plato, magis autem amica veritas. Dzieje Komitetu Ortograficznego, nie co innego, dokonały we mnie radykalnej zmiany i wiem, że ilekroć teraz spotkam się z Polakiem o nazwisku obcem, zawsze będę się zastanawiał, co i ile w jego

postępowaniu trzeba przypisać temu jego obcemu pochodzeniu.

Tego mnie nauczyły nadzwyczaj smutne dzieje ostatniej reformy pisowni polskiej.

POST - SCRIPTUM.

Już po napisaniu całego powyższego artykułu otrzymuję z Akademji Umiejętności **Oświadczenie Prezydjum Komitetu Ortograficznego wobec artykułu prof. J. Otrębskiego w „Środach Literackich“** (Kraków 1937, drukarnia U. J., str. 6).

Oświadczenie to jest wielce charakterystyczne. Właściwie nic z tego, co jest **istotą** broszury prof. O., ono nie prostuje. N. p. prof. O. bynajmniej nie twierdzi, że **credo** prof. Rozwadowskiego (o którem piszę obszernie) miało być wyrazem przekonań K. O. „jako całości“, czy jego „grupy“. Dość, że to była opinja prof. R., prezesa K. O. i tylko o tem pisze prof. O.

Podobnież twierdzi on (str. 5), że w K. O. nie było osób, zajmujących się ortografją „ze strony teoretycznej“, t. zn. naukowej, co bynajmniej nie przeczy **Oświadczeniu**, które zapewnia, że ten i ów członek K. O.

zajmował się nią „w pracach popularnych", a to nie to samo, co prace naukowe. Dziw, że tego tacy uczeni, jak prof. prof. Nitsch, Szyszkowski, Kleczkowski, Lehr-Spławiński i Klemensiewicz nie pojmują.

Zupełną nieporadność i całkowite nieorjentowanie się w charakterze takiego ciała, jak ów K. O., ujawniają podpisani (patrz wyżej) autorowie **Oświadczenia.** Wszakże rzecz taka, jak zmiana ortografji, o ile zwłaszcza zahacza o wymowę (patrz wyżej) może dotyczyć tylko i wyłącznie f a k t ó w j u ż d o k o n a n y c h w ż y c i u, f a k t ó w, przeciw którym nikt, a w każdym razie nikt poważny, już nie oponuje. Sądzę, że to winno być aksjomatem. Pisałem zresztą już o tem obszernie w artykule: **Orto-, czy też kakografja?** Tak np. było we Francji, gdy się reformowało pisownię czasowników, lub w Niemczech, gdy w takich wyrazach, jak **That, Theil** wyrzucano —h— itp. Ale normalna parlamentarna forma głosowania (czyli 50 proc.+1 głos), na tego rodzaju Komitetach jest absurdem. Tu decydować należy o zmianach, jeśli nie jednogłośnie, to olbrzymią kwalifi-

kowaną większością, 90 czy 80 proc. we wszystkich innych wypadkach bezwzględnie pozostawiając stan obecny. Tymczasem autorowie tego **Oświadczenia** piszą: „Ostatecznie uchwały musiały przecież zapadać (zwykłą) większością głosów"! (??).

Otóż to jest, mojem zdaniem, naiwność aż przerażająca. Ale nietylko naiwność. Jest to także brak obycia z faktami natury psychicznej, brak elementarnej kultury humanistycznej. Przecież, jak piszę gdzieindziej, „s a m f a k t, ż e c o ś j e s t, ma swą wagę niezmierną. To, c o j e s t, ma nieskończenie większą wartość od tego, c o b y ć m o ż e. Przecież sama nawet konwencja z biegiem czasu znamiennie się przekształca i staje się t r a d y c j ą, t. zn. ogromną siłą cywilizacyjną, cementującą i formującą społeczeństwo. Stąd nawet rzeczy, instytucje i zwyczaje o wątpliwej wartości (nawet przesądy, jak mówi de Maistre, a za nim nasz Rzewuski) mogą być usuwane tylko na rzecz norm bezwzględnie, niezaprzeczalnie wyższych, lepszych, nigdy zaś równie wątpliwych". Przecież trzeba zupełnie inaczej postępować w sprawach

nagłych, które muszą być regulowane z dnia na dzień, a inaczej w sprawie zmiany pewnych norm, już bytujących, na inne nieznane, niewypraktykowane. Wszakże nawet w parlamentach do zmiany konstytucji np. jest potrzebna nie zwykła, lecz właśnie kwalifikowana większość, a to w imię zasad powyższych, bo w razie braku zmiany w tym lub owym szczególe, pustki nie będzie, pozostaną normy dawne. Sam jestem zdecydowanym zwolennikiem parlamentaryzmu (napisałem nawet w nr. 260 **Dziennika Wileńskiego** w r. 1930 artykuł **O rzekomej dewaluacji parlamentaryzmu**, artykuł nota-bene skonfiskowany przez cenzurę), ale przenoszenie jego zasad do życia kulturalnego uważam za kompletne barbarzyństwo. Niestety jednak, do rozumienia tych spraw nie dorosła większość członków Komitetu Ortograficznego i rewolucyjny ferment, przyszczepiony na pniu Akademji Umiejętności przez Rozwadowskiego, snadź tkwi tam tak głęboko, że członkowie K. O. po dziś dzień zdaje się nie rozumieją, na jak mylnych zasadach zbudowany był cały Komitet Ortograficz-

ny. To też takie wydał owoce!

Na końcu potężna sensacja! Oto chyba kto jak kto, ale twórcy i obrońcy zasad nowej pisowni, winni ją znać i przestrzegać. Tymczasem odrazu na pierwszej stronie **Oświadczenia** czytamy: objektywnie, przez —j—, jak wół! A przecież i tu nowa pisownia każe pisać: —i—!! (Pisownia Nitscha, str. 125 i 170). A teraz niech czytelnik osądzi: Co warta taka pisownia, której nie opanowali jeszcze w rok po jej opracowaniu ci nawet, co byli i są jej wyznawcami, ba, twórcami? I to jeszcze w szczuplutkiem pisemku właśnie w obronie tej swojej pisowni!! Zaiste, trudno o większe jej zdyskredytowanie!

Wilno, dn. 16 marca.

Przypisek. Otrzymuję właśnie (1.IV) list od prof. Pigonia, zdecydowanego przeciwnika nowej ortografji, co stwierdził jeszcze na jesieni 1936, że jednak obecnie, z niezrozumiałych zresztą powodów, stara się stosować do wymagań nowej pisowni. Toteż ortografja owych artykułów w **Myśli Narodowej** nie jest jego własnością, lecz zecera i korektora. Oto jeszcze jeden przyczynek do chaosu, w który nas pogrążył Ko-

mitet Ortograficzny. Iście: bellum omnium contra omnes! Poco, naco to było komu potrzebne? I czyż nie lepiej było się oglądać na Francuzów lub Anglików, niż na Białorusinów i bolszewików?

—

„ROZMAITOŚCI SZKOCKIE" O PIŁOWNI

Po r. 1831 jakie pięćset Polaków, oficerów i żołnierzy, wyemigrowało do Anglji. Nawet i tu, w „chłodnym Albionie", nie zabrakło im (narazie) róż. Więc n. p. znany poeta, Tomasz Campbell, który jeszcze w r. 1799 ogłosił poemat dydaktyczny p. t. **The** pleasures of Hope (Rozkosze nadziei), gdzie odzywa się z wielkiem współczuciem o Polsce i żąda dla niej wolności, teraz pisze wiersz p. t. Moc Rosji (1831), gdzie wprost nazywa Polskę Chrystusem narodów. (Nie wiem, w jakim stosunku pokrewieństwa do tego Campbella pozostawał mój kolega tegoż nazwiska na Uniwersytecie Jagiellońskim w l. 1906—10, który ogłosił nawet w **Krytyce** po polsku wiersz na zgon Wyspiańskiego).

Pod przewodnictwem tegoż Tomasza Campbella i Wentworth-Beaumonta, członka parlamentu, powstało wkrótce w Londynie Towarzystwo literackie przyjaciół Polski (**Literary Association of the**

Friends of Poland). Do T-wa tego należeli p. in. sławny kanclerz lord Brougham; wierny nasz przyjaciel, lord Dudley Stuart; wice-król Indyj, lord William Bentinck; Henryk Reeve, bliski przyjaciel Krasińskiego, tłumacz poezyj Mickiewicza na język angielski; wreszcie znakomity pisarz, Charles Dickens, i in.

Czynnymi sekretarzami T-wa byli Polacy, jak Krystyn Lach-Szyrma, który na polu literatury debjutował w roku 1818 w **Dzienniku Wileńskim,** zaś w r. 1823 ogłosił w języku angielskim **Letters of Poland,** gdzie dał rzut oka na poezję ludową słowiańską. W l. 1827 — 30 prof. filozofji na Uniwersytecie w Warszawie, po powstaniu emigruje do Anglji gdzie umiera w r. 1866, zostawiwszy rodzinę całkiem już zangielszczoną. (Po nim sekretarzami T-wa byli Szczepanowski, Szulczewski, Naganowski, Jazdowski).

Prócz tego T-wa Przyjaciół Polski powstaje w Londynie w r. 1839 polskie Towarzystwo historyczne, którego działaczami byli Stanisław Koźmian, sekretarz lorda Dudleya Stuarta, Walerjan Krasiński, Włodzimierz Gadon i in. (Patrz o tem

szkic Giełguda w wyd. Z ziemi pagórków leśnych, Warszawa, 1898).

Wśród tych to emigrantów znalazł się w Anglji i niejaki Felicjan Abdon Wolski, rodem z Poznańskiego, które opuścił w r. 1831. Dostaje się on do Glasgowa i zostaje tu nauczycielem matematyki w Szkole Wyższej, oczywiście angielskiej, oraz w Kolegjum Królowej dla Panien. Pod względem materjalnym powodzi mu się nieźle, jak sam to przyznaje.

Ten to Wolski, olśniony wysokim poziomem **kultury angielskiej** postanawia w pewnej chwili zaszczepić Polsce jej znajomość i przystępuje do wydawania pisma w języku polskim w tymże Glasgowie w Szkocji. W r. 1841 wydaje prospekt, w r. zaś 1843 rozpoczyna ogłaszać swe pisemko, „poświęcone cnocie, naukom, użytkowi i rozrywce".

Nazywa się ono **Rozmaitości Szkockie.** Wyszło tego trzy zeszyty, formatu większej ósemki, razem stron 144, pióra bodaj prawie wyłącznie samego redaktora. Większość tekstu — to tłumaczenia z angielskiego, więc przedewszystkiem z powieści Dickensa, Irwinga i auto-

rów niewymienionych. Obszerne streszczenia filozofji Combe'a, artykuły o historji, o wychowaniu, o budownictwie, o maszynach parowych, o gazie, o okrętach, o uprawie zboża, — to dalsze najwydatniejsze pozycje w tem piśmie. Z wielką sympatją następnie opisuje Wolski **Dom Szkocki,** gdyż „w niczem o tyle nie przewyższają Anglicy i Szkoci innych narodów, jak w urządzaniu i umeblowaniu domów. Kto nie mieszkał w Wielkiej Brytanji, ten nie może mieć wyobrażenia nawet, co to wygoda angielska. Kto mieszkał, ten przyznać musi, że inne narody tylko wyrazy na wygodę posiadają— nic więcej. Ale wygoda — to rzecz małej wartości. Za urządzeniem domów na sposób angielski i szkocki przemawiają inne, ważniejsze, m o r a l n e korzyści". I tu następuje rzeczywiście bardzo ciekawy i rozumny opis owego „domu szkockiego".

Podobnie entuzjastycznie opisuje Wolski **Kolegjum Królowej dla panien,** w którem, jakem mówił, sam był nauczycielem. Dowiadujemy się więc, że było tam „profesorów, nie licząc w to księży, dwudziestu",

jakkolwiek lokal szkolny posiadał tylko pięć pokoi. Dochód roczny wynosił 120.000 zł. polskich, bo „Szkotki na edukację pieniędzy nie szczędzą". Śród przedmiotów wykładanych znajdujemy tam prócz jęz. angielskiego jeszcze języki starożytne francuski, niemiecki, włoski; śród „nauk" poważne miejsce zajmuje przyrodoznawstwo, acz nie zaniedbana jest też filozofja. Wreszcie i sztuki piękne znajdują tu przytułek.

Tak to rozkochanemi oczyma ogląda Felicjan Abdon Wolski wszystko w swej przybranej ojczyźnie!

Jednak nie dla niej to wydaje swe pisemko, lecz dla owej nieszczęśliwej, dalekiej, acz niezapomnianej.

Więc czytamy tu wspomnienia Wolskiego z Poznańskiego, a wiadomo, że ojczyznę poznajemy naprawdę dopiero wtedy, gdy z niej, choćby na krótko, wyjeżdżamy. Mamy tu także listy do Wolskiego od przyjaciół, którzy stawiają redaktorowi różne postulaty, jak n. p. potrzebę oczyszczenia języka, walki z wadami narodowemi i t. p.

Wyjątkowo ciekawy jest artyku-

lik, pióra samego Wolskiego, o poezji Zaleskiego. Przytoczono tu urywek następujący:

Wiatr stepowy, tchnienie Boże —
Napowietrzne moje łoże,
Jak na hasło — mknieniem
rwistem —
Wzrok utula w mgle — jak
w płótnie,
Posuwiściej — świst za świstem,
Jakąś nutą dziką — smutnie —
Coraz smutniej — smutniej —
głucho —
Pogwizduje w lot na ucho...
Hasa oto jak w zamieci,
Słucham — pieje kur już trzeci!...

Tu Wolski przerywa:

„Ale zatrzymajmy się cokolwiek, aby wytchnąć, aby odpocząć. Nie wiem jak kto: jam już zadyszany. Podobna poezja męczy więcej niźli młocka. Cepy lżejsze od pióra Pana Bohdana. Zresztą pocóż ciągnąć wyjątek dalej? Pocóż czekać,

Aż nam czwarty kur zapieje,
Kiedy każdy już się śmieje? —

Chciałem dodać „z poety", ale wiersz, jak się to często i Panu Bohdanowi zdarza, nie dozwolił dokończyć mi zdania. Co najbardziej w oczy bije w przytoczonej zwrotce, to

zakończenie. Rzeczywiście, co za szczęście, że kur zapiał t r z e c i! Inaczej nie wiem, gdzieby było rymu szukać. Chyba na ś m i e c i".

I tu daje autor rozbiór gramatyczny i logiczny przytoczonych wierszy Zaleskiego, zdradzając wielką przenikliwość krytyczną. I pomyśleć, że literalnie w tym samym czasie Mickiewicz głosił urbi et orbi, że „Zaleski jest niewątpliwie największym ze wszystkich poetów słowiańskich". (**Prelekcje,** 28. VI. 1842), że „dumki Zaleskiego należy słuchać na klęczkach". O ileż lepiej oceniał twórczość tego trzeciorzędnego poety ów Wolski, nikomu nieznany, niż sławny Mickiewicz, którego krytycyzm zabijała przyjaźń! (Dziś to samo się dzieje np. z Ignacym Chrzanowskim, który przez przyjaźń potrafi powiedzieć o notorycznej elukubracji, że „stanowi ona epokę w badaniach nad danym poetą ,że w całej polskiej krytyce literackiej niema drugiej tak świetnej syntezy!").

Ale więcej, niż cała treść powyższa Rozmaitości Szkockich, interesują nas w tym artykule pomysły językowe Wolskiego. Wydał on już

dawniej broszurę na temat języka i pisowni, teraz (pamiętajmy, że to było w r. 1843, czyli niemal sto lat temu!) próbuje aktualizować tamte swe myśli. Więc pisze:

„Jeżeli w czemś język polski ma wyższość nad innemi, to niezawodnie w pisowni. Pradziadowie nasi pokazali dużo zdrowego rozsądku w wyborze abecadła. Nasz język jest jedynym nieledwie wykształconym językiem, w którym (z niektóremi wyjątkami) każdy głos ma (w pisowni) swój własny, osobny znak, to jest głoskę..."

I porównawszy szczegółowo pisownię polską z innemi, autor pisze dalej:

„Pomimo te przeważne korzyści, jakie wypływają z filozoficzności (!) naszego abecadła, pytam się, czy wielu Polaków pisze dziś ortograficznie swoim językiem? Oj, mało, i bardzo mało. Polska pisownia, widać, za łatwa i dlatego nikt się jej nie uczy" (Oj, uczy się, niestety, dziś w r. 1937, uczy, nawet profesorowie, ale nauczyć się nie może! — przyp. S.C.). „A przecież nic więcej nie cechuje prawdziwie oświeconego człowieka jak gruntowna znajomość

rodowitego języka... Co najgorsza, złej pisowni Polak się nawet nie wstydzi. Pan Adam nie poszedł wczoraj w odwiedziny do Pani Stefanowej dlatego, że nowego fraka Żyd na czas nie przyniósł, a dzisiaj pisze do niej bez zarumienienia się: „Łaskawo Pani. Iak Mammę kocham nie mogłem bydź wczoray w domu drogi Pani dla tego, że brad moy wyiezdzał w drogę, a ia musiałym go odprowadzadź, ale bende dzisiay wieczorym, ieżeli czas mi pozwoley" (Autentyczne!). Pytam się tedy każdego rozsądnego człowieka, czy ortografja potrzebna czy nie? Potrzebna. — Czy człowiekowi oświeconemu wolno pisać nieortograficznie? Nie!"

Czyż mógł przypuszczać nieborak, że po stu latach te, zdawałoby się, aksjomaty będą w Polsce zakwestjonowane?

Następnie, pełen chwalebnej żądzy „ułatwiać, prostować, ufilozoficzniać język nasz narodowy", Wolski szczegółowo bada poszczególne głoski i stwierdziwszy, że — u — i — ó — to dźwięki te same, — ó — zachowuje tylko w niektórych wyrazach, jak ów, ojców, pół i t. p., na-

tomiast stale pisze: oprucz, curka, siudmy i t. p. Podobnież nigdy nie spotykamy w **Rozmaitościach Szkockich** zbiegu liter — ch —. Czytamy więc: o dwóh pierwszyh, ih, hory (= chory), hyba i t. p.

Ten niefortunny pomysł szeroko autor motywuje. „Nie zaprzeczam bynajmniej, że mamy, jak nasi sąsiedzi Niemcy, dwa różne od siebie gardłowe głosy; ale z drugiej strony nikt mi także znów nie zaprzeczy, że oba te głosy są bardzo nieprzyjemne a szczególniej głos, który nasza dwugłoska — ch — wyobraża... Zważywszy przeto nieprzyjemność głosu i trudność rozpoznania go od podobnego do niego — h —, a stąd ciągłe omyłki w pisowni, przyszedłem do tej konkluzji, że język nasz nic na tem nie straci, hoć (przez samo — h —) twardszego (?) z dwóh (przez samo —h—) gardłowyh (przez samo —h—) głosów całkiem się pozbędzie. Umilać język rodowity, o ile duh (przez samo —h—) jego pozwala, jest naszą powinnością. Prawda, że to nowość, ale proszę, któryż z języków wykształconyh (przez samo —h—) jest dzisiaj taki, jakim był trzy wieki temu? Czy języki

angielski, francuski i niemiecki nie ulegają ciągłym zmianom? Tylko języki narodów nieoświeconyh (przez samo — h —) mogą się poszczycić wieczną niezmiennością!"

Nie wchodzimy tu, rzecz jasna, w polemikę z autorem, ale podkreślamy jeden moment: oto zastanawia się on nad tem, czy i o ile ten lub ów pomysł jest zgodny z duchem języka. Nasi lingwiści natomiast z Komitetu Ortograficznego nigdy o tem nie pomyśleli, bo dla takiego np. prof. Nitscha kwestja ta nie istnieje. Międzynarodowa bezduszność wyklucza takie pojęcia, jak duch narodu, czy języka.

Jakkolwiek więc nierozróżnianie w pisowni dźwięków —h— i —ch— przez Wolskiego jest to pomysł niefortunny, to słuszną natomiast wydaje się jego troska o zatrzymanie znaku zmiękczenia w takich wyrazach, jak gap', gołąb', głąb' i t. p. Inaczej — bo głąb kapusty i głąb' jeziora powinny się wymawiać jednakowo. „Cóż nad to śmieszniejszego?" woła autor. Podobnież, rzecz jasna, kreskuje on —ń— w wyrazie — pojedyńczy —. (Nitsch nie zdążył tu jeszcze nabróździć).

Następnie przechodzi Wolski do głosek —i—, —j—, —y—, które, jak pisze, „przedstawiają jedną z największych trudności w polskiej pisowni... Rzadko kto używa dziś tych głosek, a szczególnie dwu pierwszych, na stałej zasadzie. Każdy pisze, jak mu się nadarzy. I dlatego to widzimy w jednym i tym samym dzienniku: Francja, Francia, Francya, Francija, Francjia, Francyia, Francyja". Wolski słusznie uważa, że —j— to jest „znak spółgłoskowy i ze znakami —i— oraz —y— nie może mieć nic wspólnego, zaś —i—, używane zamiast kreski, jest to znamię miękkości poprzedzającej je spółgłoski". A że niema w języku naszym zmiękczonych spółgłosek —d—, —r—, —t—, więc należy też pisać: Indje, Szwajcarja, apatja, a także Anglja, Hiszpanja, linja, lilja i t. p. Oczywiste dlań wyjątki to biograf, trio.

Jeżeli jeszcze zważymy, że autor stale pisze (i oczywiście wymawia) tem dobrem dzieckiem, temi dziećmi, tymi ludźmi, to pomimo pewnych dziwactw (jak owa curka, hoć itp.) należy przyznać mu o wiele więcej inteligencji, znajomości języka i gra-

matyki, oraz poczucia charakteru polskiej mowy, niż owym niefortunnym lingwistom z Komitetu Ortograficznego, którzy narzucić nam pragną dziś swe pomysły.

Tak więc sto lat przeszło dla nas bezpłodnie, nie posunąwszy naprzód ani sprawy pisowni polskiej, ani, co najważniejsze, uwypuklenia znamion języka polskiego.

Rozmaitości Szkockie niedługo już jednak wychodziły. Zeszyt III ostatni, zamyka redaktor melancholijnym wyrzutem. „Nierozsądkiem byłoby drukować bez pytania się, czy pisemko moje przyniesie jakikolwiek komu pożytek, szczególniej, że tysiąc złotych polskich na jeden nie wystarcza poszyt". (Pamiętajmy, że pisemko drukowało się w Glasgowie, że prawdopodobnie specjalnie dla niego trzeba było sprowadzić czcionki polskie, że wreszcie zecerzy nie znali najpewniej języka naszego).

„Artykułów mam pełno w pogotowiu" (pisze dalej Wolski); „kilkunastu literatów przyrzekło mi swoją pomoc; czcionki i drukarz z tysiącem rycin czekają na moje skinienie, o jeden mi tylko chodzi artykuł i to

artykuł najważniejszy — o czytelników."

I dalej mówi autor o zarzutach, które mu stawiano. Przedewszystkiem ten, że „cokolwiek niekorzystne ma on o stanie oświaty w kraju wyobrażenie". Boć to „aby krajowi się podobać, trzeba nawet i wady wielbić narodowe... Proszę, kto będzie tak dziecinnym płacić sześć talarów rocznie za twe pisemko, kiedy za te same prawie pieniądze może mieć dwie butelki najlepszego szampana... Kraj, gdzie obywatele w wista ledwie po pięć złotych punkt grywać są w stanie, nie może utrzymać tak kosztownego pisemka". — (Och, jakbyśmy słyszeli Norwida, który podobnie na swą ojczyznę narzekał!)

W każdym bądź razie cóż to za dowód żywotności polskiej! Gdzieś daleko, zupełnie oderwany od kraju, biedny emigrant nie zapomina o nim i mądrze troszczy się o jego dobro. Jakżeśmy dziś zubożeli w naszem poczuciu narodowem, jak zbyt wiele ciężarów składamy na państwo, a sami jesteśmy tak bardzo bierni i nieaktywni!

P.S. Możność zapoznania się z

taką rzadkością, jak te **Rozmaitości Szkockie,** zawdzięczam wybitnemu bibljofilowi, p. Władysławowi Ziemackiemu, nauczycielowi w Tołociszkach, za co składam mu niniejszem gorące podziękowanie.

SZOBERA SŁOWNIK ORTOEPICZNY.

Jakem zapowiadał w **Gwałcie ortograficznym**, prof. Szober rzeczywiście rozpoczął wydawać **Słownik ortoepiczny**, czyli dotyczący poprawności wymowy. Snadź wydawca pragnął ubiec podobne imprezy, bo rzecz poszła piorunem. Rzeczywiście podziwiamy ogrom pracy prof. Szobera, zwłaszcza w związku z jej niebywałą szybkością.

A rzecz przecież potrzebna! Ileżbo trudności, zwłaszcza dziś, gdy pewna część społeczeństwa została zmuszona do posługiwania się nową pisownią, nastręcza wymowa polska!

Ot, weźmy choćby nazwisko autora nowego słownika. Jak należy mówić: Szobera czy też Szobra? Prawda, że mówimy n.p. Kader, Kadera, ale równocześnie: Luter, Lutra. Prof. Otrębski, a także prof. Nitsch każą odmieniać: Koschmieder, Koschmiedra, acz Brückner nazywa to „wilczem prawem". Ale przecież to w polskiej mowie powszechne, że przypomnimy sobie: kaliber, kalibru;

koliber, kolibra; rober, robra; kufer, kufra; kuter, kutra; arbiter, arbitra i t. p. Więc jak ostatecznie: Szobera, czy Szobra?

Jednak zawieśmy narazie te wątpliwości na kołku i odmieniajmy nazwisko autora **Słownika Ortoepicznego** tak, jak odmienia je większość.

Zapytajmy najpierw, czy dobrze się stało, że właśnie z pod pióra Szobera wyszła ta praca? Czy był on do tego powołany?

Formalnie — tak. Jest to jeden z najlepszych, a po Brücknerze najpracowitszy z naszych lingwistów. Ale czy równocześnie posiada on kwalifikacje faktyczne, by przemawiać do najszerszych mas, do przeciętnej polskiej inteligencji, bo jej szczyty przecież takiego słownika nie potrzebują? Czy zresztą jedna osoba może tu rozstrzygnąć te rozliczne trudności, które nasuwa wymowa?

W każdym bądź razie musiałby to być ktoś, czyją wymowę można uznać za typową, ktoś myślący i wysławiający się bardzo jasno, a zawsze obrazowo, konkretnie, ktoś doskonale zżyty z duchem naszego ję-

zyka oraz z językami wszystkich polskich środowisk kulturalnych, wszystkich warstw i wszystkich prowincyj. Może też raczej aktor czy mówca byłby tu powołany, a nie uczony lingwista.

Trudno mi orzec kategorycznie, czy wśród tych ostatnich jest ktoś zupełnie odpowiedni do wskazania n o r m naszego języka. Chyba najlepiej wykonałby tę rzecz Zenon Klemensiewicz, którego liczne podręczniki szkolne, dotyczące języka polskiego, odznaczają się wielką prostotą, przejrzystością wykładu, stylem żywym, jasnym, zajmującym, dużem obyciem się z dydaktyką i dobrą znajomością psychologji ucznia.

Czy i Szober posiada te cechy?

Przecież to naukowiec czystej wody. Język jego jest suchy, abstrakcyjny, raczej filozoficzny, niż potoczny, bynajmniej typowy, lecz mocno indywidualny, acz jednocześnie pozbawiony wyobraźni twórczej, nieartystyczny; słowem jaknajdalszy od przeciętnej normy i od żywej mowy ogółu. Nie przesądza to, rzecz jasna, o wysokiej randze prof. Szobera śród językoznawców, jak n. p. Heglowi nie ubliżało bynajmniej, że na-

pewno nie potrafiłby on prowadzić lekcji propedeutyki filozoficznej w szkole średniej.

Zdawałoby się, że i prof. Szober sam winien sobie zdawać sprawę z tej własnej odległości od norm popularnych w myśl zasady **Gnothi seauton** = poznaj samego siebie. Przecie musi on pamiętać n.p. ów Zjazd Nauczycieli, gdzie postawiono wniosek, by żądać od władz wycofania ze szkół podręczników prof. Szobera, jako niezrozumiałych i dla uczniów i dla nauczycieli. Szczęściem znalazł się na Zjeździe b. uczeń prof. Szobera, który wytłumaczył obecnym parę kwestjonowanych ustępów — i wniosek został wycofany. No, ale ostatecznie trudno, by do każdego egzemplarza książek prof. Szobera dodawano jeszcze premjum w postaci żywego interpretatora ich zawartości!

Pamięta też chyba prof. Sz., jak pewien dowcipniś, biorąc asumpt z terminu: cecha cech, wprowadzonego tak niefortunnie przez naszego uczonego do gramatyki elementarnej, ogłosił w wyimaginowanej bibljografji taką pozycję:

Prof. S. Szober: Cecha cech i

cecha cechy cech; — **dochód na willę Łez Dziecięcych w Zakopanem.**

Boć to chyba jasne: do szerokiego ogółu może przemawiać tylko ten, kto umie mówić zrozumiale dlań i przystępnie. Natomiast uczony, u którego abstrakcja bezwzględnie zabija konkret, winien ograniczać swe publikacje tylko do koła wybranych, t. j. do takich samych, jak on uczonych. A czyż wielu laików potrafi się połapać w takim np. ustępie. wyjętym ze 135-ej str. nowego **Słownika**.

„Przysłówki, tworzone od imiesłowów, mają dwojakie znaczenie: 1) są znaczeniowo przysłówkami; bywa to wtedy, kiedy imiesłowy, od których zostały utworzone, otrzymały znaczenie przymiotników, n. p. zachwycająco = wspaniale, od: zachwycający = wspaniały; 2) mają znaczenie przysłówków odczasownikowych (nieodmiennych), np. uspokajająco=uspakajając; kojąco=kojąc. Różnica znaczeniowa między przysłówkami odczasownikowemi i imiesłowem przysłówkowym polega na tem, że przysłówek odczasownikowy wyraża zwykle okolicznik sposobu, a imiesłow przysłówkowy — okolicz-

ność towarzyszącą. Ponieważ sposób czynności wyrażamy albo przez porównanie jej z inną czynnością, albo przez oznaczenie jej skutku więc czynność, wyrażona w przysłówku odczasnikowym, jest albo czynnością, z którą się porównywa czynność główną, wyrażoną w słowie osobowem, albo czynnością, która jest przedstawiona, jako skutek czynności głównej; np. uśmiechał się pytająco = uśmiechał się tak, jakby pytał; przemawiał uspokajająco = przemawiał tak, że uspokajał" itp.

Umyślnie przytaczam ustęp tak długi, by czytelnikom dać pojęcie o stylu Szobera, który dzieli wzdłuż włos na czworo, nawet nie domyślając się, że całe to rozumowanie jest absolutnie zbędne, bo przekracza zdolność rozumienia nawet wykształconego humanisty, a cóż dopiero tych czytelników, na których wydawca (Arct) zdaje się liczyć.

A gdy jeszcze do ogólnych cech umysłowości i stylu prof. Szobera dodamy, że wrósł on bardzo silnie w grunt Warszawy, że innych polskich dzielnic i ich wymowy nie zna tak dokładnie, że w szczególności słabo się orjentuje w naszej tu wy-

mowie kresowej — to sceptycyzm nasz wobec jego **Słownika** jeszcze wzrośnie. Znamienny n. p. szczegół. Nie zna on książki Łętowskiego **Błędy Nasze**, wydanej tu w Wilnie w r. 1915 i na 408 str. uwzględniającej 1433 t. zw. hasła czyli około 8000 wyrazów i zwrotów! Natomiast całą swą wiedzę o mowie tu naszej opiera na analogicznej, lecz wysoce przestarzałej książeczce Aleksandra Walickiego (Warszawa, 1876 i 1879), omawiającej wogóle błędy w mowie polskiej, nie zaś specyficzne nasze „litewskie".

Sto lat temu, Mickiewicz, wkładając w usta Warszawiaka słowa:

O Litwie dalibóg — że mniej wiem niż o Chinach — piętnował ten lekceważący stosunek naszych braci do nas, jak do ubogich krewnych. Od tego czasu mało co się zmieniło. Toć jeśli żaden Wilnianin nie ośmieli się pisać o języku polskim bez doskonałej znajomości, i to znajomości bezpośredniej, mowy innych polskich środowisk kulturalnych, czemu krakowski Nitsch czy warszawski Szober nie uznali za potrzebne spędzić chociażby rok na Wileńszczyźnie, zanim umyślili mówić o c a ł o ś c i mowy

polskiej? Przecież mowa tu nasza, acz częściowo zepsuta przez obce wpływy, jednak jest, obok tego, wysoce oryginalna tą oryginalnością zdrową i twórczą, co mogą potwierdzić ściśli jej badacze, tacy jak prof. Olgierd Chomiński, dr. Halina Turska i in. Lecz w Krakowie i Warszawie nikt nic o tem nie wie. Wprawdzie prof. Nitsch próbował nawet kiedyś pisać o języku tu naszym, ale dziś snadź o tem zapomniał, bo wprowadzając do pisowni, wbrew stałym normom dotychczasowym, takie n.p. dziwolągi, jak: druhna, puchacz, puchar i t. p. (miast wyraźnie tu przez nas wymawianych: druchna, puhacz, puhar), nie zasięgnął opinji żadnego wschodniego kresowca, acz sam twierdzi (a z nim prof. Szober), że tylko oni umieją odróżniać w mowie — h — dźwięczne od bezdźwięcznego —ch—.

Dokładniejsze zapoznanie się z dwoma wydanemi dotąd zeszytami Słownika Ortoepicznego Szobera (do wyrazu: migotać, razem str. 192), niestety, całkowicie potwierdza naszą aprioryczną diagnozę.

Szukamy przedewszystkiem wyjaśnienia, czy i o ile Szober zgadza się

z Nitschem, że nowa pisownia nie wywiera rzekomo wpływu na wymowę, czy rzeczywiście prof. Otrębski, ośmielający się twierdzić coś podobnego, jest analfabetą. Niestety, u Szobera nie znadujemy w tym punkcie, bezwzględnie najważniejszym, ani słowa. Ot, przy wyrazie: **co**, podaje on odmiany w dwu ostatnich przypadkach: **czym, o czym**, ale ani się zająknie nawet, jak to pogodzić z wymową ogromnej chyba większości ludzi wykształconych: **czem, o czem** (patrz w artykule **Gwałt ortograficzny** cytaty z Jabłonowskiego, Wasilewskiego, Iłłakowiczówny i t. p.).

Podobnież w drugiej ważnej sprawie, sprawie owego —j— czy —i— w wyrazach jak: **Marja** (apatja, Anglja, anemja, Indje, Rosja, Azja, Szwecja itp.) nie znajdujemy u Szobera żadnego wyjaśnienia. Przecież, gdy piszemy: Marja, wymiawiamy bez wahania wyraźnie Mar-ja, ale przy pisowni: Maria powstają wątpliwości.. Możemy wszak wymawiać: Ma-ri-a, Mari-ja, Mary-a, Mary-ja, co uwydatnia się przy przenoszeniu wyrazu: dawniej przenosiliśmy Mar-ja, a dziś jak? Mari-a, czy też Mar-ia?

I tak każdy z powyższych wyrazów wymagał wyjaśnienia, których jednak Szober nie udziela. Toć przecież nawet wedle dawnej, łatwiejszej pisowni są tu w niektórych wypadkach trudności (Austrja? Anglja?). Tembardziej zaś, po wprowadzeniu nowej pisowni konieczne tu były wyjaśnienia. Lecz Szober milczy. Dlaczego? Czy to, co dla nikogo nie jest jasne, dlań jednak jasne jest? Czy też chowa on tu głowę w piasek jak struś, by nie widzieć trudności i niebezpieczeństwa? Tak czy zresztą czy inaczej, trzeba stwierdzić, że właśnie w dwu punktach, objektywnie najważniejszych, **Słownik** kompletnie zawodzi.

Ale to dopiero początek.

Zawodzi też zupełnie kwestja akcentacji. Prof. Szober każe np. wymawiać: **akurát** z akcentem na — at?! Przyznam się, że w całej mej życiowej praktyce spotkałem się raz tylko jeden z tą wymową, a to w wierszu Boya:

... mój brat
Widział wszystko akurat!

I pomyślałem: jaka to zabawna licencja! Boć mówiłem zawsze, jak wszyscy: akùrat (akcent na — ku).

Tymczasem prof. Szober bezwzględnie zabrania tak mówić.

Podobnież: **galop;** wedle Szobera ma być akcent na końcu (przyczem następuje dziwaczne odróżnienie: galop, rzeczownik, i galop przysłówek). **Algebra** — broń Boże, nie kładź akcentu na — al, lecz na — ge! Niepodobna zrozumieć skąd to wzięte. **Liceum,** wbrew wyraźnej genezie greckiej (lekeion, akcent na głosce środkowej — kei —) można wedle Szobera wymawiać dwojako: i z akcentem na — ce, oraz (zaiste po barbarzysku), z akcentem na — li (?). (To samo będzie zapewne z: **muzeum,** które, że pochodzi od greckiego: museion, z akcentem również na -ei, winno więc być i po polsku akcentowane tak samo, t. zn. na -ze.)

Podobnież nieuzasadnione jest akcentowanie w wyrazie: **idea** na — i; jedynie właściwy akcent to, zgodnie z greczyzną: idéa (na -de).

Przy: **farmaceuta** niema akcentu. Tymczasem mówił mi pewien światły Warszawiak, nawet dr. filozofji, że w Warszawie się akcentuje — u, bez uwzględnienia dyftongu (farmace-u-ta). Szober milczy.

Dziwaczny jest pomysł akcento-

wania w wyrazie: **szczegóły** na trzeciej! głosce od końca: — szcze! — Któż tak mówi?

Podobnież w wyrazie obcym: **bordo,** zdawałoby się trzeba przesunąć akcent na koniec. Szober przeciwnie, każe akcentować — **bor.**

Całe mnóstwo wyrazów, gdzie akcentowanie nie jest jasne, jak: **Amsterdam, analiza, antyteza, arbiter, Argolida, Demostenes** i t. p. zupełnie nie zostały pod tym wzgędem omówione. Poprostu autor nie zdaje sobie sprawy, że tu mogą zachodzić wątpliwości.

Odwrotnie, nieco humorystycznie brzmią takie zastrzeżenia: **Anna** (nie: Ana), **Antoni** (nie: Anton), **apetyt** (nie: apetyk), **badyl** (nie: badel), **barszcz** (nie: baszcz), **bursztyn** (nie: busztyn), **kulać** (nie kulkać, ani kulgać; ani: kulchać, ani: kulować) i t. p. Czyż wogóle można przewidzieć wszystkie zniekształcenia? — Trzeba tu znać, rzeczywiście znać mowę potoczną. Ale co robić, gdy się jej nie zna?...

Natomiast wielce szkoda, że przy wyrazie: **jaśniej** nie wskazano na błąd tak rozpowszechniony szczególnie w Warszawie, szczególnie na

dworcach: jaśniej słońca (nazwa jakiejś pasty do podłogi).

Brak wyrazu: **intymny**, acz jest: **intymować** (?).

Dziwaczne są niektóre rozróżnienia: więc **dochodowy**, oznacza dający dochód, zaś **dochodny**, to: dający dobry dochód. **Ewangelijny** to: odnoszący się do ewangelji, **ewangeliczny** zaś — to opisany w ewangelji, zgodny z nią.

Zgoła niezrozumiała jest taka pozycja: **Dlaboga** (wykrz.) nie: dla Boga, ale dla Boga (rzeczown.) (?).

(Dopiero w korekcie, po dwudziestem już może przeczytaniu, zrozumiałem, o co tu chodzi. Ale autor nie rozumie, że pisze niezrozumiale.)

Dziwacznie brzmią wyrazy: **klusek**, rzadziej: **kluska; łazanek**, nie: łazanka (?). Należy też mówić: Dukla pod Krosnem, nigdy zaś: koło Krosna (?). Zamiast: centrala telefoniczna, lepiej mówić: łączalnia (?). Toć to śmieszne!

Iście po barbarzyńsku brzmi zwrot: ćwiczyć Szopena, obok: ćwiczyć konia. Chybaż autor chciał powiedzieć: ćwiczyć się w graniu Szopena? Podobnież zgoła niedopuszczalny jest zwrot: przedstawienie

miało miejsce, który Szober dopuszcza, miast oczywistego zwrotu: przedstawienie się odbyło.

Niepodobna też się zgodzić z długą litanją wyrazów, które Szober skazuje na wygnanie, zwłaszcza jeśli się je porówna z całem mnóstwem innych, pieczołowicie przezeń utrzymanych.

Do tych ostatnich należy jakiś: **auszus**, gdy przeciwnie: **forszus** jest zakazany. Dobry jest **nadawca** (wyraźny germanizm: Aufgeber), dobre: **eksponować** (wystawiać), **ewikcja**, **bifurkacja** (rozdwojenie), **biennium** (dwulecie; ale Szober nawet nie tłumaczy, co to jest), **bonifikować** (wynagradzać), dobra jakaś **fasja**, które to słowo, oznaczające deklarację podatkową, dalibóg, że pierwszy raz w życiu słyszę. Zakazane natomiast są wyrazy, chyba nieco bardziej znane, jak: antypaństwowy, autorytatywny, buciary (ma być: buciory); poczciwy nasz busiak; **brytwanna**, który podaje Brückner (ma być: **brytfanna**). Podobnież potępiona jest **ewidencja**, **ekwiwalent**, **fascynować**, także **depo** wagonowe, (winno się mówić: wagonownia). Zły też jest przymiotnik: litośny. Okazuje się, że Słowacki czy

Kasprowicz, kreskujący tu —ś—, źle mówili po polsku.

Któż nie przyzna, że właśnie te zakazane wyrazy są lepsze, niż owe polecone? Innych argumentów, poza smakiem osobistym, Szober nie podaje. Natomiast pogromiony jest kompletnie Nitsch, gdyż Szober jednak mówi i pisze miękko: pojedyńczy, nie zaś twardo: pojedynczy, jak tego chce Nitsch. Och, z jaką ulgą to się czyta!

Widzimy więc, że mowa Szobera, którą chciałby on uznać za wzorową, jest nader indywidualna i bardzo daleka od typowej. Podzieliłem się z czytelnikami tylko drobną cząstką zastrzeżeń, które budzi ten **Słownik ortoepiczny.** Ale chyba tego wystarczy, by pobudzić czytelnika do wielkiej rozwagi i ostrożności w korzystaniu z niego. Przypuszczam, owszem, że większą część tego, co on poleca, jako poprawne zwroty i wyrazy, należy przyjąć. Podobnie większość wyrazów napiętnowanych trzeba niewątpliwie odrzucić. Ale w całem mnóstwie wypadków należy się prof. Szoberowi gorąco sprzeciwić, oraz jeszcze bodaj więcej uwag jego zignorować.

Czy jednak **Słownik** ten należy uznać za pożyteczny?

To zależy. Jeśli kto kompletnie źle mówi po polsku, może zeń odnieść korzyść. Ale dla osób, mówiących po polsku naogół biegle i przeciętnie poprawnie, **Słownik** omówiony jest zupełnie zbyteczny.

ZAMKNIĘCIE.

Trzy te, ostatnio ogłoszone przeze mnie na łamach **Dziennika Wileńskiego** artykuły, tworzą całość. Zdaję sobie doskonale sprawę, że noszą one charakter publicystyczny, bo w zakresie języka nie posiadam naukowej kompetencji. Jednak są one głosem ścisłego badacza literatury, którzy, jak wiadomo, niemal wszyscy myślą podobnie, czego dali dowód w znanej deklaracji zbiorowej przed dwoma laty, której to deklaracji prof. Nitsch nie pozwolił odczytać na posiedzeniu owego Komitetu Ortograficznego.

Nie wiem, jakie przyjęcie spotka te moje artykuły oraz osobną broszurę, którą z nich robię; czy zostaną one zauważone i czy wywołają zamierzony przeze mnie skutek: t. zn. czy ostatnia reforma pisowni zostanie przez władze zawieszona jeszcze na jakie • dwa lata, by w wolnej konkurencji dopiero mogło się ujawnić, która z nich, dawna czy nowa, lepiej odpowiada potrzebom życia i by w dyskusji, bez obawy represyj rządowych, mogli się wypowiedzieć

wszyscy zainteresowani, czyli szeroki ogół piszących.

Ja ze swej strony raz jeszcze muszę podkreślić tę osobliwą, arcyszkodliwą atmosferę, w której ta pisownia się poczęła. Jej inicjatorem był Jan Rozwadowski, b. prezes Akademji Umiejętności, który nie tylko psychologicznie, jak o tem piszę, ale także politycznie, jak się o tem dowiaduję od prof. Otrębskiego, sprzyjał bolszewizmowi, uważając jego rozpowszechnienie po całym świecie za bezwględną konieczność. „Co do Polski zaś, mawiał, to im prędzej do niej bolszewizm przeniknie, tem będzie lepiej". Zapewne uważał on to zwycięstwo bolszewizmu za rzecz przejściową, ale czy tego rodzaju determinizm i defetyzm nie są dowodem, że Rozwadowski zgóry aprobował wszelkie zamieszanie, przewrót, słowem (jego termin): dysautomatyzację, jako rzecz konieczną, z którą niepodobna walczyć? I czy ta arcy-szkodliwa psychoza, która wywołała, mówiąc nawiasem, prostrację duchową inteligencji rosyjskiej, a w skutku niebywały pogrom rosyjskiej kultury, nie przeszła od Rozwadowskiego do jego

najbliższych współpracowników, właśnie najczynniejszych członków Komitetu Ortograficznego? Czy, słowem, uchwały jego nie są produktem tej psychozy?

Nad tem należałoby się zastanowić sine ira et studio, t. zn. w każdym razie nie tak, jak to robi główny sprawca zamieszania, prof. Nitsch, w owym artykule p. t. **Chore protesty**. Sądzę, że stanowisko i opinje prof. Otrębskiego, Berenta, Wasilewskiego, Zdziechowskiego, Jabłonowskiego, Iwaszkiewicza, Drogoszewskiego, Iłłakowiczówny, Górskiego, Nowakowskiego, Zawodzińskiego, Charkiewicza i moje powinny być potraktowane poważnie, gdyż wszystkim nam, zwolennikom i przeciwnikom nowej pisowni, winno leżeć na sercu dobro polskiej kultury, nie zaś afirmacja tego lub owego „faktu dokonanego". Kultura — to fakt natury wyższej, fakt wiecznie się dokonywujący, nigdy nie zamknięty, *wszystkie* zaś decyzje cząstkowe mogą być cofnięte lub przekształcone.

Powtarzam więc raz jeszcze: kwestja pisowni w Polsce jest wciąż sprawą otwartą!

Wilno, 7 kwietnia 1937.

SPIS RZECZY